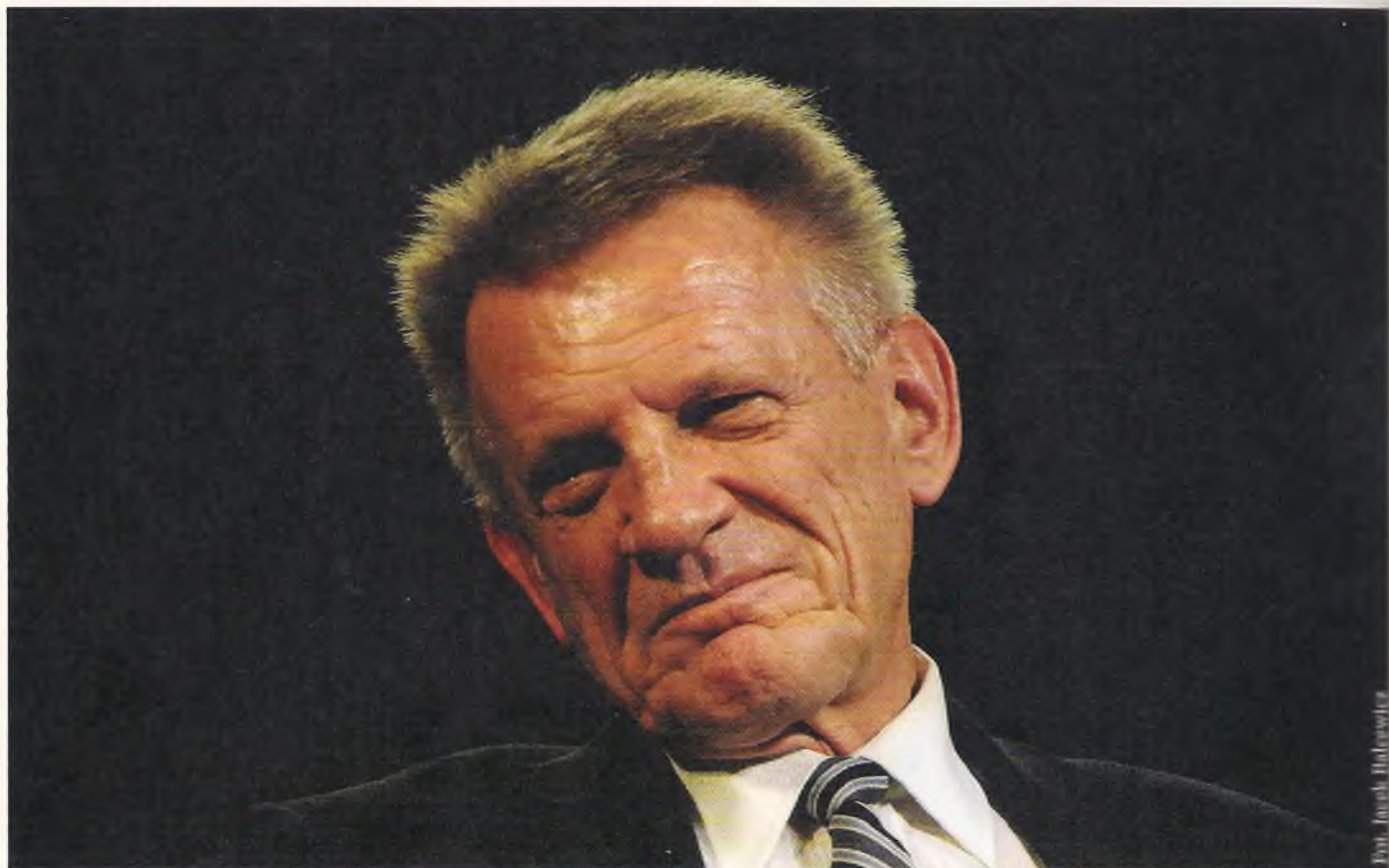


# Bronisław Cieślak: nie tylko dzielny porucznik MO



Bronisław Cieślak, dla przyjaciół Sławek. Syn kolejarza, „chłopok z bidnego Kaźmirza”, z wyuczonego zawodu etnograf, z profesji dziennikarz radiowy, później telewizyjny. A w końcu prezes, konferansjer (prowadził nawet Festiwal Polskiej Piosenki w Opolu), zastępca dyrektora ds. artystycznych Krakowskiego Ośrodka Telewizyjnego w najbardziej płodnych latach tej placówki, aktor serialowy i filmowy, sprzedawca batonów, etatowy pracownik Stowarzyszenia Dziennikarzy RP, wreszcie polityk (dwie kadencje w Sejmie). Zaczynał w *Znakach szczególnych* u Romana Załuskiego, gdzie wypatrzył go Krzysztof Szmagier, twórca serialu „o przygodach psa Cywila”, poszukujący akurat odtwórcy głównej roli do serialu „o przygodach dzielnego porucznika Milicji Obywatelskiej”. Jakkolwiek za sprawą serialu *07 zgłoś się* stał się ikoną Telewizji Polskiej czasów „propagandy sukcesu”, to jednak dopiero spolszczony niemiecki format (to już 750 odcinków!!!) *Malanowski i partnerzy* w komercyjnej telewizji sprawił, że już trzy razy otarł się o „Telekamerę” – najbardziej prestiżową nagrodę telewizyjną. Choć to wojenny rocznik, cały czas na chodzie. Dla młodych dziennikarek przepytujących go okresowo o podstawy znakomitej kondycji ma taką mniej więcej receptę: higieniczny tryb życia, dużo ruchu, tyleż samo snu, zero używek i przede wszystkim praca i jeszcze raz praca.

W żadnym stopniu nie czuje się mistrzem. A czy miał na swojej drodze mistrzów? Też nie! Jest właścicielem połamanej długiej

linii życia, na której spotkał setki, tysiące, a może nawet dziesiątki tysięcy ludzi: ważnych, mniej ważnych, bardziej znanych i zupełnie nieznanych, którym jest winien wdzięczność i wspomnienie. – Ale nie ma ani jednej postaci, która byłaby dla mnie w sensie dosłownym wzorcem – mówi. – A tym bardziej postaci, w którą byłem zapatrzony, chciałem jej dorównać, upodobnić się. Ja nie wierzę w ludzkie pomniki i sam nie jestem dobrym kandydatem na piedestał – dodaje. – Pomnikiem jest może Jan Paweł II, którego odrobinę znałem, bo mnie bierzmował, nie będąc jeszcze wtedy kardynałem... Wszyscy pozostali, którym cokolwiek zawdzięczam, byli ludźmi z kości i krwi. Mieli swoje wady, niektórzy nawet spore, ale w jakiś sposób mnie współkształtowali. Po kolei w moich agarskich, andrusowskich, szczenięcych latach na wielkim, biednym podwórku otoczonym ulicami Krakowską, Augustiańską oraz św. Katarzyny i rabina Meiselsa byli to ci, którzy najlepiej kopali piłkę albo najlepiej robili zośkę, albo grali w noże, albo pokazywali jak się pali fajki („byłem w karczmie, jadłem, piłem, a na końcu dym puściłem”).

## Święty Tarcyzjusz

– Mama, zaniepokojona poziomem podwórzowego chuligaństwa, „szturchnęła” mnie na ministranta w parafii Bożego Ciała prowadzonej przez Kanoników Regularnych Laterańskich, gdzie opiekunem ministrantów był kanonik Rudolf Drożdżewicz. Tam



więc kadziłem, dzwoniłem, usługiwałem przy ołtarzu. On pierwszy zauważył we mnie talent aktorski i zaraz po I Komunii powierzył mi rolę św. Tarcyzjusza, który w czasach wczesnego katakumbowego chrześcijaństwa został jako młodzianek ukamienowany. I tak cztery razy na stopniach jednego z ołtarzy umierałem kamienowany przez kolegów kulkami z *papier mâché*. Podziwiali mnie w tej roli wszyscy sąsiedzi, babcie, ciotki, wujkowie... Wiem, że to dzisiaj brzmi absurdalnie jak na późniejszego eseldowskiego posła do Sejmu i wcześniejszego ekranowego peerelowskiego milicjanta, ale tak naprawdę było. Potem studiowałem etnografię i ważnym dla mnie człowiekiem tego okresu był profesor Roman Reinfuss. Gdy zostałem dziennikarzem, najważniejszym człowiekiem, który mnie wprowadzał w arkana tej sztuki, był Jacek Stwora, ksiądz dziennikarzy radiowych, mistrz literackiego reportażu, autor monodramu *Co jest za tym murem*, na którym wypłynął Ryszard Filipiński. Postać dziś zupełnie zapomniana, a warta opisanie i utrwalenia. Także jako współtwórca – razem z Tadeuszem Kwiatkowskim i Brunonem Miecugowem (ojcem Grzegorza) – powojennego Zielonego Balonika, kabaretu w Jamie Michalika.

## Jak dalekomorski rybak

Cieślak sam porównuje się do dalekomorskiego rybaka, który gdy wypływa na połów, to tuż po minięciu falochronu zaczyna tęsknić za żoną, dziećmi i trawą, a gdy wraca na urlop, to zaraz ciągnie go znowu w morze.

– Jest „karnawał Solidarności”, kręcimy na Mazurach kolejne odcinki 07, a ja rano drałuję kilka kilometrów na rowerze do jedyne go kiosku po gazety, by dowiedzieć się, co słychać w Polsce. Niby jestem w bajce, dziewczyny, woda, słońce i jeszcze mi za to płacą, a ja marzę o powrocie do rzeczywistości, ciągnie mnie tam jak wilka do lasu. A gdy jestem już w realu, to ta rzeczywistość wcale mi się nie podobna, jest jakaś taka tępa, chropawa, momentami nachalna i bezsensowna, chcę wracać do swojej bajki – opowiada.

Co czytał późniejszy najinteligentniejszy porucznik MO? Najpierw całego Karola Maya, później Hemingwaya, potem był *Luk Triumfalny* Remarque’a i w konsekwencji cały Remarque, dalej Faulkner. I cała literatura latynoamerykańska, która przyszła później...

– Czytałem dosłownie wszystko, co dzisiaj zabrzmi niewiarygodnie. Choć nie czytałem Sienkiewicza. Ponadto byłem zwanym maniakiem filmu, po pięć razy w tygodniu chodziłem do kina, przemycaliśmy się z seansu na seans, podlepialiśmy plastrami oddarte kupony do biletów, kiwając bileterów. Bilet na poranek kosztował 1,35 zł, ale w moim ówczesnym wieku to były wielkie pieniądze... W kinie Sztuka, gdzie był DKE, oglądałem wszystkie filmy Kurosawy, Antonioniego, Bergmana, Felliniego, Buñuela. To nieprawda, że byliśmy odcięci od świata i tylko radzieckie filmy w kinach leciały, zresztą zupełnie niezłe. Było biednie, brudno i siermiężnie, ale było coś, o czym śpiewa Grzesiek Markowski w *Autobiografii*: „chciało się żyć”. Byliśmy głodni życia... Dzisiaj w wolnej Polsce żadna telewizja nie nakręci takiego serialu jak *Lalka*, *Chłopi*, *Nikodem Dyżma*... Co, tyle kostiumów? Za drogie! Mowy nie ma. *To se ne vrati*. PRL nie był fajnym krajem. Ale w takiej wąskiej, nie najważniejszej dziedzinie, jaką była twórczość telewizyjna – było dobrze. A teraz jest jak jest. Wtedy dla telewizji kręciło się filmy, a teraz kręci się formaty. Jak na Krzemionkach raz na trzy lata robi się teraz spektakl teatru telewizji to jest wielkie święto i wszyscy chodzą dumni. My w tamtym czasie robiliśmy 20–25 spektakli w jednym roku, czasami 2–3 spektakle w miesiącu. I to za moich czasów Andrzej Wajda zrobił *Zbrodnię i karę*, Jerzy Jarocki pracował dla Telewizji Kraków itd. itp. Hamuję się, bo zaraz odfrunę jak napompowany balon. Ale to był fajny czas. Ja w tych spektaklach nie grałem, ale na wszystkich dokumentach związanych z ich realizacją są moje podpisy... To taki miły przyczynek do osobistej biografii.

## Co pan zamierza zmienić?

– Jest przełomowy rok osiemdziesiąty dziewiąty. Prasa pisze „zdjąć Cieślaka”. Od Kutza żądają, żeby mnie wyrzucił. Kutz się pyta: ale za co? Za to, że był!

Dzwoni do mnie początkująca wtedy dziennikarka „Gazety Krakowskiej”, dzisiaj ważna ogólnopolsko-sejmowa reporterka czołowej stacji komercyjnej i koniecznie chce rozmawiać. Ja się bronię. Ona nalega. Ależ co pan opowiada, co to za kompleksy. Jako dziennikarka mam prawo zapytać urzędującego dyrektora artystycznego Telewizji Kraków o plany. Kapituluję, zapraszam na kawę. Przyjechała, włączyła dyktafon, ja rozwijam się jak kwiat lilii i opowiadam. Mam dla pani specjalną wiadomość na wyłączność, że jestem umówiony z reżyserem Feliksem Falkiem, będzie robił w Krakowie *Ryszarda III*. Do głównej roli zaproszony jest Andrzej Seweryn. Andrzej Seweryn od lat przebywał w Paryżu, jest w tym czasie czołowym aktorem Comédie Française, jednym z trzech cudzoziemców w jej historii. I sensacją jest w ogóle jego przyjazd do Polski. Mam jednak pewien trudny produkcyjnie warunek, bo Sewerynowi akurat urodziło się dziecko i on chce przyjechać nie tylko z żoną i tym dzieckiem, ale także z opiekunką do dziecka. I nie załatwię jego potrzeb hotelowym apartamentem, tylko muszę szukać willi albo przynajmniej dużego mieszkania. I nie wiem, jak to zmieszczę w budżecie. Siedząca naprzeciwko mnie dziennikarka średnio tego słucha. Przysuwa się do mnie i pyta: „A co pan zamierza zmienić?”. Wprawdzie w głowie zapaliło mi się małe światełko, ale nadal kontynuuję: Michał Bobrowski pracuje nad kolejnym *Spotkaniem z balladą*, trwają przygotowania do II Festiwalu Muzyki Krzysztofa Pendereckiego, z Teatru Kameralnego chcemy przenieść na mały ekran kolejny spektakl... A ona znowu: „Co pan zamierza zmienić?”. Po trzecim takim pytaniu ryknąłem: niiiiic!!! Przysuwa mi bliżej dyktafon i pyta: „Co pan chce przez to powiedzieć?”. A ja: to, że przez 5 lat jak jestem tutaj dyrektorem artystycznym, nie realizowaliśmy *Brygady szlifierza Karhana*, tylko arcydzieła teatru. Do tej pory u nas reżyserowali: Andrzej Wajda, Krzysztof Nazar, Jerzy Jarocki, Włodzimierz Nurkowski i nadal ci sami ludzie będą u nas reżyserować. Grali: Jerzy Trela, Jerzy Stuhr, Jerzy Bińczycki, Edward Lubaszenko, Anna Polony, Teresa Budzisz-Krzyżanowska, Jan Nowicki itd. I dalej będą grali. Muzykę komponowali: Andrzej Zarycki, Zygmunt Konieczny, Jan Kanty Pawluśkiewicz i dalej będą komponowali. Rozumie pani?! A ona, taka bezradna, duka: „Ale przecież coś w tym kraju się jednak zmieniło”. Ja na to: jeśli pani chce rozmawiać o polityce, publicystyce i informacji, to 40 metrów dalej urzęduje równolegle do mnie zastępca Kazimierza Kutza, nazywa się Artur Janicki. On odpowiada ze te sprawy. Niech pani idzie i rozmawia. Poszła. Z tej rozmowy w całości nagranej na dyktafon nie ukazało się, nigdy i nigdzie, ani jedno zdanie. Mam prawo sądzić, że ona przyjechała do mnie ze z góry założoną tezę. A jako stary dziennikarz wiem, że do interlokutora nie wolno przychodzić z góry założoną tezę. Pomyślałem sobie, że ja w gruncie rzeczy wtedy wygrałem. Zresztą pani K. po latach przyznała mi rację, bo co to znaczy wszystko zmieniać: tramwaje mają jeździć lewą stroną, słońce ma wschodzić na zachodzie...? Wszyscy nagle na pstryk mają się zmienić. Milicja Obywatelska ma nagle przeistoczyć się w Policję Państwową. Świętej pamięci Krzysztof Kozłowski nie umiał tego zrobić. I tak go w końcu dopadli: powiedzieli, że skoro „Tygodnik” za komuny wychodził, to musiał kolaborować.

## Powrót Borewicza

Krzysztof Szmagier przez długi czas nosił się z zamiarem powrotu do serialu w nowej rzeczywistości. Bronisław Cieślak wewnętrznie i zewnętrznie bronił się przed tym, bo to oznaczało zmianę trybu narracji. Serial opowiadał o tym, co dzieje tu i teraz, dosłownie za oknem. Porucznika Borewicza należało w jakiś sposób



przeprowadzić przez bramki weryfikacji i zrobić z niego komisarza. A jak to zrobić wiarygodnie i sensownie?

Wyglądało to tak. Koniec PRL-u. Komuna rządzi, ale jeszcze panuje. Porucznik Borewicz wpada na trop ganku narkotkowego, którego jednym z uczestników jest synalek wiceministra. Parszywe czerwone bydło. Tatuś nie lubi Borewicza, który coraz bardziej depcze synalkowi po piętach. W związku z czym organizuje prowokację, w jej wyniku Borewicza degradują, wyrzucają z milicji i ranny trafia do więzienia. W dużej wieloosobowej celi jedna połowa to zwyczajni kryminaliści najgorszego autoramentu, a druga to polityczni, czyli bohaterowie „Solidarności”. Borewicz jako człowiek dowcipny i inteligentny szybko się z ekipą „Solidarności” zaprzyjaźnia. Wychodzi w końcu razem z nimi z więzienia i hop, jest już zweryfikowany. Cieślak obawiał się, że reżyser każe mu mówić przed kamerą: jak ja nienawidziłem tego peerelu, jak ja się cieszę że doczekałem prawdziwej wolności. I wyjdzie z tego polityczny, produkcyjny komсомоłski gniot, który pójdzie śladami serialu *Dom Jana Łomnickiego*.

– Niech więc już ten 07 zostanie w tamtej rzeczywistości. Jaka ona była, taka była. Ale na szczęście przeżyliśmy to – zapewnia Bronisław Cieślak. Chociaż mówiąc to, uśmiecha się, bo ma na końcu języka informację o kolejnej idei odświeżenia serialu. Co z tego wyjdzie, czas pokaże. Ale nie żyje już przecież Szmagier, operator Rutowicz, kierownik produkcji Moczydłowski i filmowy partner Cieślaka, Kozień.

Bronisław Cieślak zapewnia, że 07 ani przez moment nie miał być swojską repliką Bonda. Tytułowe 07 to dawny numer wywoławczy pogotowia milicyjnego, umieszczany obowiązkowo na każdej budce telefonicznej. Rezolutny porucznik MO miał początkowo nazywać się Bolski, ale Cieślak od razu obśmiał to nazwisko, kojarzyło mu się z „cienkim Bolkiem”. Był chyba prorokiem, bo o agencie Bolku nikt nie miał wtedy jeszcze żadnego pojęcia. W trakcie realizacji czterech pierwszych odcinków bohater serialu nie miał więc ani imienia ani nazwiska. Imię zapożyczył od zdrobnienia imienia Cieślaka, nazwisko od asystenta operatora. I tak powstał Sławomir Borewicz.

## Zubek z UB — Sławomir Borewicz z SB

O ile porucznik Zubek odczytywany był jako ten z UB, o tyle Borewicz miał się fonicznie kojarzyć nie tylko z BOR-em – Biurem Ochrony Rządu, ale także z komendantem AK gen. Borem Komorowskim. O jeszcze jednej konotacji Bronisław Cieślak dowiedział się dawno po ukończeniu zdjęć do ostatniego odcinka, jak już był posłem.

– Na jednym ze spotkań – wspomina Cieślak – wstał jakiś rozpolitykowany dżentelmen i mówi: „Wy nam nie pokazujcie, że ten Borewicz to tak się dystansował od tej rzeczywistości, że on takie szlacheckie korzenie miał, przedwojenne, patriotyczne wychowanie. Myślicie, że my nie wiemy, jakie on ma inicjały: SB!” O mało się nie posikałem, gdy to usłyszałem – śmieje się Cieślak *vel* Borewicz. Serial święcił tryumfy popularności w Bułgarii, gdzie został sprzedany, a jego bohaterowie przyjmowani byli jak niewolnica Isaura w Polsce. Zresztą w Polsce, gdzie Isaurę sprowadził ówczesny wiceprezes TVP Lew Rywin, porucznik Borewicz przesłuchiwał ją na okoliczność niewolnictwa.

Cieślak dzisiaj niczego nie żałuje, nawet tego, że upokorzony stał na krótkiej klatce schodowej urzędu pracy przy św. Sebastiana w kolejce po zasiłek dla bezrobotnych, a później sprzedawał batony i gumę do żucia w Domu Turysty, stanowiąc atrakcję dla młodzieżowych wycieczek z całej Polski. Kazimierska bieda, z której wyrósł, zahartowała go mocno. Ale bezrobocie, zwłaszcza mężczyźn – oprócz oczywistych niedogodności materialnych – kastruje. Człowiek musi mieć motywację do życia. Musi mieć powód, aby zmusić się, by wstać rano, ogolić się, ubrać porządnie. Z takiego też powodu przyjął posadę „detektywa Małanowskiego” w niemieckim formacie emitowanym w Polsce. Wprowadzie oficjalny motyw był taki:

„bo mam kosztochłonne dzieci”, co nie uradowało producentów, ale chodziło o zajęcie, dzięki któremu mimo że przekroczył wiek właściwy nawet dla profesorskiej emerytury, wygląda jakby wczoraj wyszedł z komendy.

– Miałem wielu znajomych, którzy po przejściu na emeryturę zwyczajnie kapcanieli, gdy nie mieli jakiegoś sensownego zajęcia – uzasadnia.

## Nie wstydzę się polityki

Politykę uważa za bardzo interesujący, choć zamknięty już rozdział swego życia. – Wiele tam zobaczyłem, wiele też się nauczyłem, ale nie chcę tam już wracać – mówi. Z polityka wiąże się też anegdota z udziałem Gustawa Holoubka, którego Cieślak uznaje także za ważną postać w swoim życiorysie. Panowie poznali się w Krakowie na długo przed tym, nim Cieślak stanął przed kamerą i łączyła ich wieloletnia zażyłość.

– Jak zostałem wybrany do Sejmu, spotkaliśmy się u państwa Holoubków w domu. Madzia zrobiła kawę, było ogólnie miło. A Gucio mówi: „Słuchaj! W tym twoim za przeproszeniem obecnym otoczeniu politycznym używany jest zwrot: scena polityczna. A dla nas, ludzi uprawiających to rzemiosło, scena jest określeniem bardzo poważnym. My – mówi się czasem – żyjemy na scenie. Teatr jest naszym domem. Więc może powiedz tym swoim politycznym koleżkom, żeby przynajmniej mówili estrada. Co?”. O ile pamiętam – ripostował Cieślak z przytomnością umysłu właściwą dla oficera MO – ty też Guciu na tej scenie przez moment byłeś (Gustaw Holoubek był posłem na Sejm PRL VII i VIII kadencji oraz senatorem I kadencji – przyp. jb). „Wiesz, ale ja się tego bardzo wstydzę” – odrzekł Holoubek.

– W odróżnieniu od pana Gustawa ja się swojego udziału w polityce nie wstydzę, ale z bliska to wygląda nie najlepiej. Zresztą to wiadać, choćby w telewizji. Aby przeżyć, potrzebna jest w tym wszystkim odrobina autoironii. Ci ludzie w Sejmie, z których często się śmiejemy, nie są tam na własną prośbę, choć bardzo o to zabiegali, tylko ktoś ich tam wybrał i wysłał. Ta sala przy Wiejskiej jest zwierciadlanym odbiciem naszego społeczeństwa. Jeśli jakoś wysokiej izby jest niska, to oznacza może, że my jako naród nie dorośliśmy do tego, co jest nazywane demokracją. Jeśli ponad połowa Polaków w ogóle nie idzie do urn, bo uważa, że to nie ma sensu, no to gdzie my jesteśmy? Za chwilę tylko 10 proc. Polaków pójdzie do wyborów, ale wybierze ważny parlament, który będzie uchwalał w majestacie prawa ważne i istotne dla całego narodu rzeczy.

## W roli z Anną?

Czy stryjkowi Sławkowi nie marzy się czasem, by stanąć przed kamerą razem ze swoją piękną bratanicą, zawodową aktorką Anią Cieślak?

– Ania, rodzona córka mojego brata Jacka, będąc w klasie przedmaturalnej, zadzwoniła i zakomunikowała mi, że postanowiła zostać aktorką. Przez półtora roku, jakie dzieliło ją od matury, na uszach stawałem, aby ją od tego zamiaru odwieść. Wiem z autopsji, że aktorstwo to nie tylko zawód wysokiego ryzyka, ale profesja na granicy obłądzenia czy nawet schizofrenii. Wejście w dynamiczną rolę, którą gra się, jak to mówią, „bebechami”, trwa kilkadziesiąt sekund – powrót do normalności kilka godzin. Czasem przez wódeczkę i bar w SPATiF-ie. Dzwoniłem i tłumaczyłem: Aneczka, jest tyle innych fajnych zawodów. Na nic...

Może więc, o ile Borewicz wróci na ekran, w epizodzie przynajmniej zagra razem z Anną. Siłą 07 były nie tylko cięte dialogi i wartka akcja. Nawet w epizodach pojawiał się tam kwiat ówczesnego aktorstwa polskiego, a filmową eks-żoną Borewicza, Joanną, była np. Izabela Trojanowska.

Wybrał i notował Jacek Balcewicz